

109 119
CZYTANIA ŻOŁNIERSKIE Nr. 5 (c).

KOBOS TADEUSZ



OCALENIE

według powieści Wiktora Hugo:

„Rok dziewięćdziesiąty trzeci“.



ARCHIWUM
LEGIONÓW
i N. K. N.

Nr 245



Warszawa — 1920.
GŁÓWNA KSIĘGARNIA WOJSKOWA.

Wydane z polecenia Sekcji Oświaty i Kultury
Oddz. III Szt. M. S. Wojsk. — 25/X 1920.

TŁOCZNIA J. KONDECKIEGO
MARSZAŁKOWSKA 53 a.

Podczas walk francuskich w 1793 roku wandejczycy, rozbici przez wojska republikańskie, ukryli się w wieży Turg. Z całej armji pozostał tylko dowódca, margrabia Lantenak i osiemnastu żołnierzy; wojska oblegające natomiast liczyły aż cztery i pół tysiąca ludzi gwardji narodowej i wojsk linjowych, oraz 12 armat. Lantenak mógł jednak bronić się dłuższy czas dzięki niedostępności wieży, lecz wreszcie udało się republikanom w murach jej zrobić wylom.

Wandejczycy byli zgubieni; przygotowywali się jednak do ostatniej, śmiertelnej walki: w sali na dole zrobili mocny szaniec, z za którego skutecznie można było strzelać do oblegających. Podobne umocnienia przygotowano także na pierwszym i na drugim piętrze, aby bronić się do ostateczności, gdy republikanie zdobędą parter. Wiedzieli bowiem, że muszą zginąć: przez republikanów

uważani byli za buntowników, groziła im więc kara śmierci, gdyby dostali się do niewoli. Wódz francuzów, Gowen, ogłosił to publicznie; szczególnie zależało mu na ukaraniu Lantenaka, który był rzeczywiście człowiekiem okrutnym: z całą bezwzględnością mordował jeńców, palił wsie, zabijał mieszkańców. Zaciętość republikanów była tak wielka, że nie zgodzili się oni nawet na wypuszczenie obłożonych za cenę wydania zakładników, uwieczonych w zamku, stojącym obok wieży.

Zakładnikami u wandejczyków było troje dzieci, które zabrali oni podczas jednej z walk z republikanami. Dzieci te wychowywały się w bataljonie paryskim, będąc ulubieńcami wszystkich żołnierzy. Matka ich, Michalina Fleszar, przebywająca również w owym bataljonie, była ciężko porażona w tej samej bitwie, w której dzieci dostały się do niewoli. Wyleczywszy się z ran, udała się na poszukiwanie dzieci, dotychczas jednak bezskutecznie. Biedna kobieta szalała wprost z rozpaczy: całymi tygodniami szła bez przerwy przed siebie, dopytując napróżno o dzieci; nogi poraniły jej się okropnie, ubranie podarło, jadła i spała tyle tylko, ile nieodzownie było potrzebnem,

żeby nie padła martwa z wycieńczenia. Dowiedziała się wreszcie, że dzieci jej znajdują się w Turg; udała się więc pośpiesznie w tym kierunku...

Tymczasem margrabia Lantenak kazał dzieci zamknąć w sali bibliotecznej na drugim piętrze zamku i klucz od sali schował do kieszeni. W razie wdarcia się republikanów zamek miał być podpalony, i dzieci—niewinne zupełnie ofiary—zginęłyby bez ratunku.

* * *

Wieczór się zbliżał. Oblegający zaczęli formować kolumnę szturmową: bitwa miała się za chwilę rozpocząć. Jeden z żołnierzy wandejskich, przewiskiem Wilkołak, zwrócił się jeszcze raz do republikanów:

— Hej, ludzie, co nas atakujecie—krzyknął—powiedzieliśmy wam swoje [warunki; są one niewzruszone i nic w nich nie zmienimy. Oddamy wam troje dzieci, które są tutaj, a wy wzamian dacie nam wolne przejście i życie wszystkim.

— Zgoda—odpowiedziano—wszystkim z wyjątkiem jednego.

— Kogo?

— Lantenaka.

— Nigdy!

— Pod innym warunkiem nie możemy się układać.

— Więc zaczynajcie.

Nastąpiło milczenie.

Dziewiętnastu obleżonych zgromadziło się milcząc w sali na dole i wszyscy ukłękli. Słyszano miarowe stąpanie kolumny szturmowej, która w ciemnościach posuwała się ku wieży; odgłos ten zbliżał się; nagle obleżeni poczuli ich przy sobie, tuż przy otworze wyłomu. Wówczas wszyscy klęcząc, przyłożyli do twarzy kolby karabinów i lufy zatknęli w szczelinach szanca. Jeden z nich wstał i trzymając obnażony pałasz w prawym ręku, a krucyfiks w lewym, rzekł głosem poważnym:

— W imię Ojca i Syna i Ducha Świętego!

Wszyscy razem dali ognia i rozpoczęła się walka.

*

*

*

Trwała ona trzy godziny i jak było do przewidzenia mimo bohaterskich wysiłków garstki

obleżonych, została przegrana: republikanie opanowali salę na dole i na pierwszym piętrze, poczem rozpoczęli szturm do komnaty piętra drugiego, gdzie schronili się wandejczycy poranieni, zmęczeni i pozbawieni naboju. Zdawało się, że zguba ich jest nieunikniona: w ostatniej jednak chwili przypadkiem odkryli tajemne wyjście, które pozwoliło im zbiec.

W sali pozostał tylko Wilkołak, który miał wstrzymać atakujących piętnaście minut, aby dać reszcie czas do ucieczki. Wykonał zlecenie w zupełności, lecz sam został śmiertelnie ranny. Wówczas schwycił pochodnię, zapalił lont nasiarkowany w celu wzniesienia pożaru w zamku i w chwilę potem skonał.

Gowen na czele żołnierzy wdarł się do sali, —lecz zastał ją pustą.

* * *

Tymczasem margrabia Lantenak znajdował się w zupełnie bezpiecznym schronieniu i pogoń dosięgnąć go nie mogła.

Schody, przez które zeszedł w ślad za resztą uciekających, kończyły się blisko parowu wązkim korytarzem sklepionym. Korytarz ten dochodził

do rozpadliny naturalnej w ziemi, która z jednej strony prowadziła do parowu, a z drugiej do lasu. Rozpadlina owa, niedostępna oczom ludzkim, wiała się kręto pod roślinnością nieprzeniknioną. Pochwycenie tam człowieka było niepodobieństwem. Uciekający dostawszy się raz do tej rozpadliny, potrzebował tylko przemykać się, jak wąż i nie można go było znaleźć. Wejście ze schodów do zakrytego chodnika tak było cierniami zarosnięte, że budujący przejście podziemne uważali za niepotrzebne zamykanie go w inny sposób.

Margrabia mógł się już teraz oddalić, stał jednak nieruchomy. Należał do tych ludzi, którzy usiłują nic nie uczuwać, ale nie mógł uchronić się od wzruszenia, gdy po wyziewach krwi i rzezi odetchnął świeżem powietrzem. Uczuć się zupełnie ocalonym, kiedy się było już zgubionym; przyjrawszy się tak zblizka grobowi, posiąść całkowite bezpieczeństwo, wydrzeć się śmierci i powrócić do życia—było to wstrząśnienie dla takiego nawet jak Lantenak człowieka. I jakkolwiek doświadczał już podobnych wrażeń, nie mógł uszczepić swej niewzruszonej duszy od chwilowego zachwiania.

Czas jednak nagił; należało oddalić się;—zamierzał udać się do lasu. Gdy już miał skrecać na lewo, zdawało mu się, że jakiś blady promień przedzierał się do niego.

Odwrócił się i przez krzaki wyraźnie zarysowane na tle czerwonym, które nagle stały się widoczne w najdrobniejszych szczegółach spostrzegł wielką łunę w parowie. Kilka kroków oddzielało go tylko od parowu. Postąpił naprzód potem się rozmyślił, uważając, że niepotrzebnie naraża się na takie światło. Skądkolwiek zresztą mogła pochodzić ta łuna, nic go nie obchodziło. Zwrócił się więc i postąpił kilka kroków ku lasowi.

Nagle, zagłębiwszy się i ukrywszy zupełnie pod cierniami, usłyszał nad głową krzyk straszny. Krzyk ten zdawał się pochodzić z samego skraju płaskowzgórza z ponad parowu. Margrabia podniósł oczy i przystanął.

* * *

W chwili, kiedy Michalina Fleszar spostrzegła wieżę zarumienioną od słońca zachodzącego, znajdowała się od niej o dobrą miłą. Zdolna

zaledwie do postąpienia paru kroków, nie cofnęła się przed tą miłą. Kobiety są słabe, ale matki są silne. Poszła.

Słońce zaszło, zmierzch nastął, a po nim ciemność głęboka; idąc ciągle, kobieta słyszała bijącą zdaleka na niewidzialnej dzwonnicy godzinę ósmą, potem dziewiątą. Od czasu do czasu przystawała, przysłuchując się jakiemuś głuchemu hukowi.

Szła prosto przed siebie, krusząc osty i zieliska kolczaste zakrwawioną stopą.

Rozległe płaskowzgórze, po którym dążyła, porośnięte trawą i krzakami, puste było, bez drzewa, bez domu. Wznosiło się nieznacznie i jak okiem dosięgnąć, opierało się długą, prostą i sztywną linią o widnokrąg ciemny, gwiazdzisty. Podtrzymywał kobietę w tem wspinaniu się do góry ciągły widok wieży.

Widziała ją rosnącą zwolna.

Huki przytłumione wydobywające się z wieży, powracały w pewnych przerwach; ustawały, potem powtarzały się znów, jakby dając nieszczęsnej, strapionej matce, bolesną jakąś do rozwiązania zagadkę.

Nagle ustały.

Nastąpiła chwila zupełnego milczenia, rodzaj posępnej ciszy.

W tej właśnie chwili Michalina Fleszar doszła do skraju płaskowzgórza.

U stóp swoich spostrzegła parów, którego dno ginęło w sieniej ciemności nocy; przed sobą, z drugiej strony wąskiego parowu, widziała gmach wielki, jakby zbudowany z ciemności czarniejszych od nocy samej, a wyraźnie oświetlony tlejącymi lontami ustawionej na szczycie płaskowzgórza baterji.

Gmach składał się z mostu, którego arkady nurzały się w parowie, i z rodzaju zamku wzniesionego na moście; zamek zaś razem z mostem opierał się o wieżę, ku której to matka z tak daleka zdążyła.

Okolo baterji było obozowisko, którego wedy Michalina Fleszar zdołała rozróżnić, ale sama nie została dostrzeżoną wśród ciemności i krzaków.

Doszła do skraju płaskowzgórza tak blisko mostu, że dotknięcie go ręką zdawało się jej prawie możliwem. Od mostu jednak oddzielała

ją głębokość parowu. Rozróżniała w cieniu trzy piętra zamku.

Nie wiadomo, jak długo tak stała, milcząca i zatopiona w zadumie przed parowem rozwartym i przed tą ponurą budowlą. Co to było? Co się tam działo? Czy to było Turg?

Patrzyła i słuchała.

Nagle straciła wszystko z przed oczu.

Opona z dymu wzniosła się między nią, a wszystkim, na co patrzyła. Ból gryzący przymknął jej oczy. Zaledwie opuściła powieki, gdy uczuła, że świetlaną nabiegły jej purpurą. Otworzyła oczy.

Miała wokoło siebie nie już noc, lecz dzień; był to początek pożaru.

Dym czarny stał się szkarłatnym; kłębił się w nim wielki płomień; płomień ten ukazywał się, potem znikał; wychodził niby język z czegoś, co miało podobieństwo do paszczy, a było oknem pełnem ognia. Okno to, uzbrojone kratą żelazną rozpaloną do czerwoności, należało do niższego piętra zamku. Z całego gmachu widocznem było to okno. Dym zasłaniał wszystko inne.

Michalina Fleszar patrzyła zdumiona. Po-

wiew wiatru przeleciał i rozdarł zasłonę z dymu, a z tego rozdarcia wynurzyła się całkowicie nagle, wieża, olśniewająca, straszna, wspaniale położona od pożaru, który się na niej odbijał od góry do dołu. Michalina Fleszar mogła rozpoznać wszystkie szczegóły, rysujące się ze złowieszczą dokładnością na tle ognistem.

Dolne piętro paliło się. Na niem widać było dwa inne piętra jeszcze nie tknięte, ale stojące, jakby w koszu z płomieni. Ze skraju płaskowzgórza, na którym stała Michalina Fleszar widać było niewyraźnie ich wnętrze przez warstwy dymu i ognia. Wszystkie okna były pootwierane.

Przez wielkie okna drugiego piętra Michalina Fleszar dostrzegła niedaleko jednego okna, na ziemi, w półcieniu, małą niewyraźną kupkę, coś, co miało nieokreślony i kłębowaty pozór gniazda, lub gromadki piskląt, a chwilami zdawało się poruszać.

Kobieta przypatrywała się temu.

W pewnych chwilach przychodziło jej do głowy, że to było podobne do kształtów żyjących; miała gorączkę; nic nie jadła od rana, szła bez wypoczynku, była wycieńczona i czuła się w sta-

nie jakiegoś obłądu. A jednak oczy jej coraz uporczywiej w jeden punkt wlepione, nie mogły oderwać się od tego nagromadzenia jakichś przedmiotów, leżących na podłodze tej sali, wznoszącej się nad pożarem.

Nagle ogień sięgnął z dołu do uschniętego bluszczu, pokrywającego właśnie front, na który patrzała. Rzekłbyś, że płomień odkrył tę sieć suchych gałęzi; iskra chciwie się na nią rzuciła i biegła wzdłuż wici z przerażającą chyżością, jak po nasypce prochowej. W oka mgnieniu płomień dostał się do trzeciego piętra, a wtedy z góry oświetlił wnętrze drugiego. Jasne światło wydobyło nagle z cienia trzy małe uspięne istotki.

Była to drobna, prześliczna gromadka; nóżki i rączki poplątane, główki jasne, uśmiechnięte.

Matka poznała swoje dzieci.

Wydała krzyk przeraźliwy.

Matki tylko wydać są zdolne taki krzyk niewypowiedzianej trwogi.

Ten właśnie krzyk usłyszał margrabia Lan-tenak.

Wspominaliśmy, że margrabia zatrzymał się.

Przez krzaki powikłane nad sobą widział most w płomieniach, wieżę purpurową od łuny, a przez szparę między dwiema gałęziami spostrzegł z drugiej strony nad swoją głową, na skraju płaskowzgórza, naprzeciwko palącego się zamku, twarz obłąkaną i zboląłą, kobietę pochyloną nad parowem.

Ta to kobieta krzyk ów wydała.

Margrabiã słuchał. Padało to na jego głowę: słyszał coś niewyraźnego i rozdzierającego, łkania raczej, aniżeli słowa.

— Ach mój Boże! moje dzieci! To moje dzieci! ratujcie! gore! gore! gore! Czyż zbójcy jesteście? Czy niema tam nikogo? Toż moje dzieci spala się! Jurciu! moje dzieci! Alanie! Janku! Ale cóż to ma znaczyć? Któż tam zaprowadził moje dzieci? One śpią! Jestem szalona! To niepodobieństwo. Na pomoc!

Tymczasem około wieży i na płaskowzgórzu widać było ruch wielki. Cały obóz zdążał do ognia, który tak nagle wybuchnął. Oblegający, załatwiwszy się z walką, mieli teraz do czynienia z pożarem.

Co tu począć? Z płytkiego strumyka w pa-

rowie można było zaczerpnąć zaledwie kilka konewek wody. Strapienie wzrastało. Cały brzeg płaskowzgórza mrowił się wylękłemi postaciami, spoglądającemi na ogień.

Straszne było to, co się oczom przedstawiało.

Wszyscy patrzeli, a nikt nie mógł zaradzić.

Płomień biegnąc po bluszczu, który się zajął, dosięgnął wyższego piętra. Tam napotkał śpichlerz pełen słomy, na którą się rzucił. W jednej chwili zapłonęło całe poddasze.

Piętro z biblioteką było jeszcze nietknięte. wysokość pułapu i grubość murów, opóźniały chwilę wdarcia się ognia; ale fatalna owa chwila zbliżała się. U dołu otchłań wrzącej lawy, u góry sklepienie z żaru. Za pierwszą dziurą w podłodze groziło zawalenie się w gorejącą czeluść; za pierwszą dziurą w suficie zagrzebanie żarem. Dzieci nie obudziły się jeszcze: wi dać je było w tej grocie ognistej, spokojne, pełne wdzięku, nieruchome.

Matka załamywała ręce.

— Gore! ja wołam gore! czyż wszyscy głu-
si, że nikt nie przychodzi? Kto mi dzieci me pa-
li? Śpieszcie przecież ludzie, co tam jesteście.

Szłam i szłam tyle dni i oto, jak zastaję moje dzieci! Ogień, ratujcie. Cóż one takiego zrobiły te niewiniątka! Któż to robi takie rzeczy! na pomoc! ratujcie moje dzieci! Czy nie słyszycie? ulitowalibyście się nad suką! moje dzieci, moje dzieci! ach Jurcia! Jasio! Alanek! tak się nazywają. Widzicie przecie, żem ja ich matka! Okropne dzieją się rzeczy. Szłam dnie i noce. Ratujcie, ratujcie! gore! Cóż to za potwory! To zgroza! Najstarszy niema pięciu lat, malutka niema dwóch. Widzę ich gołe nożyny! Śpią. Najświętsza Panno! ręka niebios oddaje mi je, a ręka piekieł mi je odbiera. I ja szłam tak długo! Moje dzieci, które wykarmiłam własną piersią! byłam nieszczęśliwą, że ich znaleźć nie mogłam. Miejcie litość nademną. Ja chcę moich dzieci, ja muszę mieć moje dzieci. A przecież to prawda, że one tam są w ogniu. Patrzcie, jak moje nogi całe we krwi! Ratujcie! Niepodobna, żeby na ziemi byli ludzie, i żeby pozwolili tak umrzeć tym biednym malutkim! na pomoc! mordują! Nie widziano jeszcze nic podobnego! Ach zbójcy! Co to za straszny dom! skradziono mi je, a żeby zabić potem! Jezu miłosierny! ja chcę moich dzieci! Och; ja

nie wiem co ja zrobię! Nie chcę, ażeby ginęły!
na pomoc! ratujcie! Och, gdyby miały tak umrzeć,
zwarjowałabym.

Jednocześnie ze straszmem błaganiem matki, rozlegały się głosy na płaskowzgórzu i w parowie.

— Drabiny!

— Niema drabiny!

— Wody!

— Niema wody!

— Tam wysoko w wieży na drugim piętrze, są drzwi.

— To drzwi żelazne.

— Wylamać je!

— Niepodobna.

A matka z podwójną siłą zanosila rozpaczliwe wołania:

— Gore! ratujcie, ale śpieszcie się! Kiedy tak, to zabijcie mnie! Moje dzieci, moje dzieci! Ach, straszliwy ogień! Niech je wydobędą, albo niech mnie tam wrzuca.

W przerwach między temi krzykami słycać było spokojne trzeszczenie pożaru.

Margrabia pomacał się za kieszeń i natrafił

na klucz od drzwi żelaznych. Wtedy nachylając się pod sklepienie przejścia, którem się wymknął, wszedł napowrót w korytarz, z którego był wyszedł.

* * *

Całe wojsko bezsilne wobec ratunku niemożliwego; cztery tysiące ludzi nie mogących uratować trojga dzieci; takte było położenie rzeczy.

Drabiny w istocie nie było, pożar się szerzył, próbować zagasić go wodą z wyschniętego prawie strumyka w parowie, było śmiesznością i mogło znaczyć tyle, co wylanie szklanki wody na wulkan.

Gowen wszedł do sali drugiego piętra wieży, gdzie było tajemne przejście i drzwi żelazne do biblioteki. Tam znajdował się poprzednio lont nasiarkowany, zapalony przez Wilkołaka; stamtąd też wyszedł pożar.

Gowen przyprowadził z sobą dwudziestu saperów. Jeden już tylko był ratunek: wywalić drzwi żelazne. Ale drzwi straszliwie silnie były zamknięte.

Zaczęto rąbać toporami, ale topory się wyszczerbiały.

Jeden z saperów rzekł:

— Stal jak szkło pryska na tem żelazie.

Wrota były istotnie z kutego żelaza, z dwóch blach trzycalowych spojonych nitami.

Przyniesiono drągi żelazne i próbowano drzwi podważyć. Drągi się łamały.

— To jakby patyczki—rzekł saper.

Gowen posepny, rzekł do siebie:

— Chyba tylko kula wywaliłaby te drzwi; gdyby tylko można było wprowadzić tu armatę.

— I to jeszcze pytanie—zauważył saper. Nastąpiła chwila przygnębienia.

Wszystkie te bezsilne ręce opadały. Milczący, zwyciężeni, przerażeni, ludzie ci, przypatrywali się strasznyom drzwiom niewzruszonym. Czerwony blask przeświecał przez szparę u góry. Po za nimi szerzył się pożar.

Jeszcze kilka minut, a prawdopodobnie wszystko się zawali.

Co począć? nie było już żadnej nadziei.

Rozjątrzony Gowen, utkwivszy wzrok w przejście otwarte, którem wymknęli się obleżeni, zawołał:

— A przecież tędy to oddalił się margrabia Lantenak!

— I tędy powracal — odezwał się głos jakiś.
I w kamiennych ramach ukrytego przejścia
pokazała się siwa głowa.

Był to margrabia.

Wszyscy obecni, jak skamienieli, pozostali
w postawie, w jakiej margrabia ich znalazł.

Margrabia trzymał w rękę gruby klucz; wy-
niosłem spojrzeniem zmusił do cofnięcia się kilku
saperów, stojących na drodze, podszedł prosto
do wrót żelaznych, schylił się pod sklepienie i wło-
żył klucz do zamku. Zamek zaskrzypiał, drzwi
otworzyły się i odsłoniły otchłań z płomieni,
w którą wszedł margrabia.

Wszedł z podniesioną głową, krokiem pew-
nym.

Wszyscy drżąc, śledzili go oczami.

Zaledwie margrabia postąpił kilka kroków
w pałacej się sali, podłoga zwęglona ogniem i na-
cisnięta jego stopami, runęła za nim i otworzyła
przepaść między nim a drzwiami. Margrabia nie
odwrócił głowy i szedł dalej. Zniknął w dymie.

I nic już nie było widać.

Czy mógł iść jeszcze dalej? Czy nie rozwar-
ła mu się pod stopami nowa czeluść ognista? Czy

po to tylko wszedł, żeby i sam zginął? Nikt nie mógł odgadnąć. Ściana z dymu i płomieni zasłaniała wszystko. Margrabia żywy, czy też martwy, znajdował się za tą ścianą.

* * *

Tymczasem dzieci obudziły się nareszcie.

Pożar, który nie dosięgnął jeszcze biblioteki, rzucał na sufit różowy odblask. Dzieci nie znały tego rodzaju zorzy. Patrzyły na nią. Jurcia przypatrywała się jej ciekawie.

Podługowate iskry ulatywały w dal, przerzynając ciemności.

— Caca—rzekła Jurcia.

Podnieśli się wszystko troje.

— Ach, krzyknęła matka, budzą się!

Janek wstał, za niem wstał gruby Alan, wstała Jurcia.

Janek przeciągnął się, podszedł do okna i rzekł:

— Gorąco!

— Aj, gorąco—powtórzyła Jurcia.

Matka zawołała:

— Moje dzieci! Janku! Alanie! Jurciu!

Dzieci patrzyły dokoła.

Matka powtórzyła:

— Janku, Alanie, Jurciu!

Janek odwrócił głowę, zobaczywszy matkę zawołał:

— Mamo!

— Mamo! rzekł Alan.

— Mamo! rzekła Jurcia.

I wyciągnęła drobne rączęta.

A matka zawyła:

— Moje dzieci!

Wszystko troje stanęły przy oknie; na szczęście, nie z tej strony się paliło.

— Bardzo gorąco!—rzekł Janek.

I dodał:

— To parzy.

I szukał matki oczami.

— Chodźże mamo!

— Mamo!—powtórzyła Jurcia.

Matka z rozczochranemi włosami, poszarpana zakrwawiona, stoczyła się od krzaku do krzaku, aż do parowu.

Żołnierze w rozpacz, że nie mogą być użyteczni, tylko się w około nich roili. Gorąco było nieznośnie, a nikt go nie czuł. Rozważano wysokość piętr, niedostępność okien i potrzebę szybkiego działania. Trzy piętra do przebycia. Ani sposób się tam dostać.

Jeden z żołnierzy począł wdzierać się na most, ale daremnie; wpił paznogie w kamień, wdrapywał się przez kilka chwil; ale podmurowanie było gładkie, żadnej szczyrby, żadnej wypukłości; mur był tak ściśle spojony, jakby nowy i żołnierz upadł. Pożar szerzył się straszliwie; w ramach zaczerwienionego okna widziano trzy jasne główki.

Matka klęcząc, ścisnęła filary mostu i wołała:
— Łaski!

Głuche trzeszczenie mieszało się z sykiem płomieni. Szyby pękały i padały z łoskotem. Widozmem było, że belki kruszały. Żadna siła ludzka nic tu nie mogła poradzić. Chwila jeszcze, a wszystko miało runąć. Czekano końca. Słyszano cienkie głosiki, powtarzające:

— Mamo! mamol

Przerażenie wszystkich pożerało.

Nagle, w oknie sąsiednim temu, w którym stały dzieci, na purpurowem tle płomienia zjawiła się wysoka postać.

Podniosły się wszystkie głowy, wszyscy utkwili w jeden punkt oczy. Tam w górze był człowiek. Postać ta odbijała czarno od płomieni, lecz włos miała siwy. Poznano margrabiego Lantenaka.

Zniknął, potem znów się ukazał.

Straszliwy starzec stanął przy oknie, trzymając drabinę. Była to złożona w bibliotece drabina ratunkowa, po którą poszedł wzdłuż ściany i którą przywłókł do okna. Chwytał ją w jednym końcu i zręcznie spuścił przez okno po zewnętrznym krańcu gzemsu, aż na dno wąwozu. Na dole sierżant Radub wyciągnął jak szalony ręce; przyjął drabinę, uściskał ją w objęciach.

Drabina stanęła, urządzono komunikację między płonąca salą, a ziemią. Poskoczyło dwudziestu ludzi, Radub na ich czele i w mgnieniu oka ustawili się od góry do dołu, przyparci plecami do szczebli, jak mularze podający sobie kamienie. Zrobiło to z drabiny drewnianej drabinę ludzką. Radub na szczycie drabiny sięgał okna.

Margrabia zniknął znów, potem ukazał się, niosąc dziecko.

Zagrzmiał niezmierny oklask.

Było to pierwsze, które na los chwycił, Alanek.

Alan krzychał:

— Boję się!

Margrabia oddał Alana Rudubowi; sierżant, nie odwracając się podał go stojącemu za sobą poniżej żołnierzowi, a ten następnemu i podczas gdy Alan, krzyząc z wielkiego strachu, wędrował tak z ręki do ręki aż na spód drabiny, margrabia przez chwilę znów niewidzialny, stanął w oknie z Jankiem, który wyrwał mu się z płaczem i bił Raduba, gdy mu go margrabia oddawał.

Margrabia wrócił do sali pełnej płomieni. Jurcia została sama. Podeszedł do niej. Uśmiechnęła się. Granitowy ten człowiek poczuł, jak mu zwilżały się oczy.

Zapytał:

— Jak się nazywasz?

— Jurcia—odpowiedziała.

Wziął ją na ręce, uśmiechała się ciągle i w chwili, gdy ją oddawał Radubowi, to sumie-

nie, tak wyniosłe i tak ponure, ośnione zostało niewinnością; starzec pocałował dziecko.

— To nasz robaczek—rzekli żołnierze; i z kolei Jurcia zeszła od ręki do ręki na ziemię pośród okrzyków uwielbienia. Klaskali w dłonie, tupano nogami; starzy grenadjerowie łkali, a ona się do nich uśmiechała.

Matka była u spodu drabiny, zadyszana, szalona, pijana tem niespodzianem wydarzeniem, przerzucona odrazu z piekła do raju. Zbytek radości rani na swój sposób serce. Wyciągnęła ręce, odebrała naprzód Alanka potem Jurcię, okryła wszystkie naraz pocałunkami, potem wybuchnęła śmiechem i padła zemdlona.

Rozległ się okrzyk ogromny:

— Wszyscy ocaleni!

W rzeczy samej wszyscy byli ocaleni, prócz starca. Ale nikt o tem, może on sam nawet, nie pomyślał.

Przez kilka chwil stał zadumany w oknie. Potem nie śpiesząc się, zwolna, dumnie, przekroczył okno i, nie odwracając głowy, wyprostowany, oparty plecami o szczeble, mając pożar za sobą, a wrogów przed sobą począł w milczeniu

schodzić z drabiny. Żołnierze, stojący na drabinie, pośpieszyli na dół, wszyscy obecni zadrżeli; ustępowano przed tym człowiekiem, przybywającym z góry, jakby przed zjawiającym się duchem, ze świętą grozą. On jednak pograżał się z wolna w pomroce, którą miał przed sobą; za każdym jego krokiem ku tym ludziom, którzy zmieszane źrenice utkwili w nim wśród ciemności, zdawał się rosnać.

Gdy margrabia był już na dole i zstąpił z ostatniego szczebla na ziemię, zbliżył się do niego Gowen i rzekł.

— Jesteś wolny!

Wykaz wydawnictw poleconych przez Sekcję
Oświaty i Kultury Oddz. III Szt. M. S. Wojsk.

Biblioteka Uniwersytetu Żołnierskiego.

- № 1—Jerzy Nałęcz—Walki Polaków z Moskalami.
- № 2—Jerzy Nałęcz — Jak Książę Józef walczył
z Austryjaczami o odzyskanie Galicji.
- № 3—Jerzy Nałęcz—Cyprjan Godebski.
- № 4—Jerzy Nałęcz—Stanisław Żółkiewski.
- № 5—Fr. Polniaszek—O ustroju Państwa Polskiego
- № 6—Jerzy Nałęcz — Jak Polska nad Dnieprem
straż trzymała.
- № 7—Z. Fedorowicz — Nasze granice i nasi są-
siedzi (z mapką).
- № 8—Z. Fedorowicz — Czem jest Gdańsk dla
Polski (z mapką).
- № 9—Jerzy Nałęcz — O Niepodległą Polskę
(z dziejów powstania listopadowego).
- № 10—Jerzy Nałęcz—Polska a Litwa.
- № 11—Z. Fedorowicz—Polski Śląsk (z mapką).

Czytania żołnierskie.

- № 1 (b) — Maurycy Zych — Echa Leśne (w skróceniu).
№ 2 (c) — według A. Daudet'a. — Dług Ojczyźnie. Chorąży.
№ 3 (c) — według E. Amicis'a — O sardyńskim doboszu.
№ 4 (b) — M. Rodziewiczówna — Kamienie.
№ 5 (c) — według W. Hugo — Ocalenie.
№ 6 (c) — zbiorek — Czyn chwalebny.

Biblioteka Żołnierza - Obywatela.

- № 1 (b) — M. Konopnicka — Budujmy miłej Ojczyźnie dom.
№ 2 (c) — Pereswit — Buduje się nowa Polska.
№ 3 (a) — J. Słowacki — O potrzebie idei.
№ 4 (c) — zbiorek — Ojczyzna.
№ 5 (b) — A. Langer — Wolność obywatelska.
№ 6 (a) — A. Asnyk — Pobudka.
-

Dalsze broszury w przygotowaniu.

Uwaga: broszury oznaczone literą **c** czytane być mogą przez wszystkich.
broszury oznaczone literą **b** przeznaczone są dla czytelników *bardziej przygotowanych*.
broszury oznaczone literą **a** przeznaczone są *tylko dla wyrobionych czytelników*.

